

Kaganiec na języku

19 kwietnia 2015

Istotą poprawności politycznej jest werbalne łagodzenie konfliktów i polityka utrzymywania realnie istniejących napięć w możliwie bezpiecznych ryzach. I chociaż poprawność, tak jak każda sztywno obowiązująca norma, ma też swoje niebezpieczne słabości, jak na razie nie wymyśliliśmy nic lepszego.

Debata o politycznej poprawności powraca cyklicznie. Jak bumerang. Chociaż tak naprawdę już dawno została wygrana przez neokonserwatystów. Poprawność, najpierw w wyniku konserwatywnej rewolucji w Stanach Zjednoczonych, a potem także dzięki triumfowi prawicowej narracji w Europie, stała się demonem i pośmiewiskiem. I jako idea znalazła się w fazie schyłkowej, zanim na dobre rozwinęła swoje skrzydła. Demon poprawności obnażany jest nieustannie. Przez brytyjskie tabloidy, celebrytów, polityków i publicystów. Antypoprawościowe sformułowania już dawno wyszły z obrzeży debaty i znalazły się w centrum głównego nurtu. Jeremy Clarkson swoje niepoprawne politycznie hasła głosił w publicznej telewizji. Znany DJ Chris Moyles czynił to w popularnym śniadaniowym programie w publicznym radiu. Felietoniści „The Sun” i „Daily Mail” oraz innych brytyjskich brukowców antypoprawościową krucjatę prowadzą nieustannie. Nigel Farage spowodował zaś, że dyskryminujący i wykluczający język zagnieździł się na dobre w polityce. Walka z „polityczną poprawnością” wciąż jednak trwa, bo dla narastającej rewolucji konserwatywnej na Wyspach „poprawność polityczna” to hasło-łom. Jak „obcość” dla nacjonalistów, „wyzysk” dla starej lewicy i „patriarchat” dla ruchów feministycznych. Tym hasłem prawica znakuje przeciwnika i wrogie terytorium. Wyzwolenie, które prawicowa rewolucja ma przynieść, to przede wszystkim całkowita wolność od poprawności i jej praktycznych skutków. W tym kontekście program zrealizowany dla Channel 4 przez Trevora Phillipsa – Things that we won't say about race that

are true (10 prawd o rasie, które boimy się wypowiedzieć na głos) – oraz jego esej opublikowany w „Daly Mail” płyną raczej z głównym nurtem, a nie – jak chce ich autor oraz kibicujący mu komentatorzy – są odtrutką na „sięgającą obsesji poprawność polityczną”.

SEGREGACJA KLASOWA

Trevor Phillips, do niedawna przewodniczący organizacji Equality and Human Rights Commission, a wcześniej przewodniczący Commission for Racial Equality, co najmniej od dekady walczy z poprawnością polityczną i wielokulturowością, które w jego mniemaniu prowadzą bezpośrednio do kulturowej i etnicznej segregacji. Według Phillipsa postępująca gettoizacja będąca konsekwencją „multi-kulti” jest pożywką i idealnym ekosystemem dla inkubacji ekstremizmów, co kończy się wysyłaniem młodych ludzi do walki na „wojnie z niewiernymi”, podkładaniem bomb w autobusach i pozbawionym sensu zabijaniem współobywateli. Ale chociaż konkluzje dotyczące postępującej gettoizacji i negatywnych skutków tego procesu są słuszne, to jednak założenia i punkt wyjścia pozbawione są najmniejszego sensu. To nie polityczna poprawność polegająca na werbalnym łagodzeniu konfliktów, porozumieniu i pokojowym współżyciu w różnorodnym świecie przyczynia się do segregacji, ale zwiększające się nierówności społeczne, klasowość i ograniczenia w dostępie do edukacji oraz dóbr materialnych.

Polityczna poprawność, która narodziła się w latach 60. XX wieku jako rezultat powojennej konstatacji, że nienawiść wobec innych przemycana w języku, obyczajach i zachowaniach kulturowych prowadzi do rzeczywistej dyskryminacji i w procesie długofalowym do zbrodni, jest jedynie narzędziem do walki z uprzedzeniami. Problem z tezami Phillipsa jest taki, że chociaż są one efekciarskie i chwytliwe, to jednak błędnie sugerują, że na problemy związane z postępującymi napięciami kulturowymi i etnicznymi wystarczą proste rozwiązania. Musimy tylko zrzucić kaganiec poprawności z języka i „nauczyć się obrażać siebie nawzajem”, co pozwoli nam „postrzegać siebie w

prawdziwych barwach". Rzeczywistość jest jednak znacznie bardziej skomplikowana.

Przyzwolenie, a wręcz zachęcanie do obrażania innych jest niebezpieczne. Język bowiem nie tylko opisuje rzeczywistość, ale również wywołuje emocje, które umożliwiają lub niszczą dialog. Antagonistyczny dyskurs nie prowadzi do rozwiązywania konfliktów, lecz do ich zaostrzania. Zwłaszcza w pluralistycznych i wielokulturowych czasach. Bo w kwestii polityki „multi-kulti” Phillips, podobnie zresztą jak inni prawicowi dziennikarze i politycy, się myli. Żaden z europejskich rządów nigdy nie prowadził „polityki wielokulturowości” – z tej prostej przyczyny, że nie da się takiej polityki prowadzić. Wielokulturowość zaistniała sama z siebie w naturalnym procesie globalizacji i masowej współczesnej wędrówki ludów, nabierając tempa w latach 90. Przemeblowanie kulturowe i etniczne przez wieki zhomogenizowanej Europy rzeczywiście wymaga nowego modelu politycznego, społecznego oraz ekonomicznego. Tylko że zarzucenie poprawności nie jest krokiem w dobrym kierunku.

STARY WSPANIAŁY ŚWIAT

Trudność konserwatystów z zaakceptowaniem zmieniającej się rzeczywistości jest naturalna. Zmiany, zwłaszcza postępujące szybko, zawsze budzą niepokój, obawy i sprzeciw. „Inny” drażni. I chociaż – o czym przekonuje prof. Zygmunt Bauman – pewien niepokój w stosunku do „obcego”, „innego” jest zasadniczo stale obecny w społecznej psychce, to jednak w ostatnich latach napięcie znacząco wzrosło. Przyczyna tkwi w postępującej „diasporyzacji” świata – obcy kulturowo i etnicznie nie jest już tylko gościem, ewentualnie pojedynczym egzotycznym sąsiadem, ale kreuje również własną przestrzeń kulturową. Tworzy małe społeczności i, chcąc nie chcąc, wpływa na zmiany w przestrzeni publicznej. Kształtuje szkoły, miejsca pracy, tkankę miejską. I irytuje. Bo często różnice kulturowe między różnymi grupami religijnymi czy etnicznymi są duże i nie do przeskoczenia. Zachowania „obcego” sąsiada są

odpychające, a z bliska objawiają swoją nieprzystawalność do naszych zwyczajowych, a tym samym familiarnych, przyjaznych i bezpiecznych sposobów bycia. Jednak namawianie do powrotu do przeszłości, do którego tak naprawdę sprowadza się cała argumentacja wojujących z „multi-kulti” i poprawnością, jest bezproduktywne. I w rzeczywistości niemożliwe.

Turboglobalizacja – czy nam się to, podoba czy też nie – wymusiła na ludziach wytworzenie i ewolucję zarówno nowego języka głównego nurtu debaty publicznej, jak i nowych zachowań, uwzględniających wszelkiego rodzaju inności oraz tworzących reguły, które pozwoliłyby współżyć multikulturowemu społeczeństwu bez antagonizmów, wykluczenia i dyskryminacji. A przynajmniej je zmniejszać. Owszem, ten system ma wiele luk i absurdów, ale na dłuższą metę się sprawdza. Podobnie jest zresztą z samą demokracją, która jest dziwnym systemem – pełnym paradoksów, niekonsekwencji, zakłamań i kompromisów. Gdy się jej bliżej przyjrzyć, wyłazi całe mnóstwo paskudnych rzeczy, które trzeba nieustannie, cierpliwie i konsekwentnie sprzątać, ale – jeśli się chce zachować demokrację – pod żadnym pozorem nie wolno próbować tego paskudztwa uprzątnąć do końca.

Tylko prawdziwa, solidna dyktatura może zawsze błyszczeć czystością. Wolność musi trochę śmierdzieć. Musi być trochę bałaganu, chaosu i paradoksów. Politycznej poprawności, podobnie jak demokracji, wiele brakuje do ideału, ale jak dotąd nie mamy lepszej odpowiedzi na łagodzenie konfliktów oprócz tego „demokratycznego minimum” – prostego BHP życia publicznego. Pozbywając się poprawności politycznej, nie rozwiążemy żadnego problemu, za to wykreujemy kolejne.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: eLondyn.co.uk